



**GREGG**

**HURWITZ**

**BĘDZIESZ NASTĘPNY**

Greg Hurwitz wymiata!  
**Harlan Coben**

# Prolog

Czteroletni chłopiec wierci się na tylnym siedzeniu kombi. Leży pod kocem i boli go biodro — w miejscu, gdzie wbija się klamra pasa bezpieczeństwa.

Nagle siada prosto, przeciera oczy w porannym świetle i rozgląda się zdezorientowany.

Samochód zatrzymał się na krawężniku, obok płotu z drucianej siatki. Ojciec mocno ściska kierownicę, a jego ramiona drżą. Pot ścieka mu po zaczerwienionym karku.

Chłopiec przełyka ślinę, żeby zwilżyć suche gardło.

— Gdzie jest... Gdzie mama?

Ojciec ze świstem nabiera powietrza i częściowo odwraca się do syna. Na jego policzku ciemnieje dwudniowy zarost.

— Mama... nie może... Nie ma jej tutaj.

Pochyla głowę i zaczyna płakać. Szlocha i oddycha gwałtownie, jak ktoś, kto nie przywykł do płaczu.

Za płotem po popękany asfalcie biegają dzieci, niektóre ustawiły się w kolejce przy zardzewiałych huśtawkach. Na płocie wisi tablica:

W AMERYCE ZNÓW ZAŚWIECIŁO SŁOŃCE:  
RONALD REAGAN NA PREZYDENTA

Chłopcu jest gorąco. Spogląda w dół i ocenia swój strój. Ma na sobie dżinsy i podkoszulek z długimi rękawami, a nie pidżamę, w

której kładł się do łóżka. Próbuje zrozumieć sens słów ojca, odgadnąć, co oznacza ta nieznamiona ulica i koc splątany na kolanach, jednak nie potrafi skupić się na niczym poza szumem w uszach i pustką w brzuchu.

— To nie twoja wina, mistrzu. — Ojciec mówi wysokim, łamiącym się głosem. — Rozumiesz mnie? Zapamiętaj jedną rzecz... Musisz pamiętać, że nic, co się stało, nie jest twoją winą.

Przesuwa dłonie na kierownicy, ściska ją tak mocno, że jego kłykcie bieleją. Na mankiecie jego koszuli jest czarna plama.

Dobiega ich śmiech. Dzieci zwisają z drążków i wspinają się po drabinkach.

— Co ja zrobiłem? — pyta chłopiec.

— Twoja matka i ja bardzo cię kochamy. Najbardziej na całym świecie.

Ręce ojca stale poruszają się na kierownicy. Przesuwają się i ściskają, przesuwają i ściskają. Światło pada na mankiet jego koszuli i chłopiec widzi, że plama wcale nie jest czarna.

Jest krwiście czerwona.

Ojciec garbi się nad kierownicą, barki jakby mu ciążyą, lecz nic nie mówi. Po chwili z widocznym wysiłkiem prostuje plecy.

— Idź się pobawić — mówi.

Chłopiec patrzy przez okno na obcy dziedziniec i obce dzieci, które biegają i krzyczą.

— Gdzie jestem? — pyta.

— Wróć za kilka godzin.

— Obiecujesz?

Ojciec nadal nie odwraca się do niego. Podnosi jednak wzrok do wstecznego lusterka i po raz pierwszy patrzy synowi w oczy. Usta ojca wyglądają jak prosta kreska, a w jasnoniebieskich oczach są pewność i stanowczość.

— Obiecuję — odpowiada.

Chłopiec jednak wciąż siedzi bez ruchu.

Ojciec dziwnie oddycha.

— Idź — powtarza. — Pobaw się.

Mały ześlizguje się z siedzenia i wysiada z auta. Przechodzi przez bramę, a kiedy przystaje i spogląda za siebie, kombi ojca

już nie ma.

Dzieci huśtają się albo zjeżdżają po rurze strażackiej. Najwidoczniej wiedzą co i jak.

Jedno z nich podbiega do chłopca i klepie go w ramię.

— Gonisz! — krzyczy.

Chłopiec bawi się z innymi w berka. Później wspina się na drabinki i pełza w tunelu z żółtego plastiku, potrącany przez większe dzieci. Sam też próbuje się przepychać. W pobliskim budynku rozlega się dzwonek, dzieci porzucają plac zabaw i znikają w środku.

Chłopiec wychodzi z tunelu. Został na dziedzińcu zupełnie sam. Wiatr podnosi się, przesuwając zeschnięte liście, które przypominają paznokcie drapiące asfalt. Mały nie wie, co ze sobą zrobić, więc siada na ławce i czeka na ojca. Słońce zasnuwa chmura, a on nie ma kurtki. Rozkopuje liście zgarnięte obok ławki. Nad jego głową gromadzi się coraz więcej chmur. Siedzi, aż zaczynają go boleć pośladki.

W końcu przez dwuskrzydłowe drzwi wychodzi kobieta o siwiejących brązowych włosach. Dołącza do niego na ławce i kładzie sobie ręce na kolanach.

— Hej tam — zagaja.

Chłopiec tylko patrzy na własne uda.

— Okay — mówi kobieta. — W porządku. — Patrzy na pusty plac zabaw, później dalej, za druciany płot; obrzuca wzrokiem puste miejsca parkingowe przy krawężniku. — Powiesz mi, czyj jesteś?

TERAZ

# 1

Mike leżał w ciemnościach, wzrok skupił na elektronicznej niani na nocnym stoliku. Wiedział, że musi wstać za trzy godziny, ale sen nie przychodził ani trochę łatwiej niż zwykle. Pod sufitem sypialni krążyła mucha, sunąc zrywami, nierówno, jak gdyby chciała uniemożliwić Mike'owi sen. Jego matka mawiała, że mucha plujka w domu oznacza zło zagrażające rodzinie — była to jedna z niewielu rzeczy, jakie pamiętał w związku z matką.

Potrzebował dłuższej chwili, żeby przywołać mniej niepokojące wspomnienia z dzieciństwa. Te nieliczne, które zachował, były zaledwie przebłyskami doznań. Zapach szałwiowego kadzidła w kuchni wyłożonej żółtymi kafelkami. Jego matka kąpiąca go. Jej skóra, która zawsze wydawała się opalona. Jej zapach, jakby cynamonu...

Czerwone światełka na monitorze elektronicznej niani migwały. Rozległ się trzask. A może to Kat zakaszła?

Ściszył urządzenie, bo nie chciał obudzić Annabel, ale ona przesunęła się pod kołdrą i odezwała ochryplym głosem:

— Kochanie, elektroniczna niania jest dla bobasów.

— Wiem. Przepraszam. Wydawało mi się, że coś słyszę.

— Ona ma osiem lat. Czasem bywa dojrzalsza od nas. Jak będzie czegoś potrzebowała, wmaszeruje tu i nam powie.

Toczyli ten spór od dawna, a Mike wiedział, że Annabel ma rację. W końcu zupełnie ściszył dźwięk i leżał bez ruchu, pośepnie

gapiąc się na ten cholerny przedmiot, którego nie był w stanie wyłączyć. Małe plastikowe urządzenie skrywało najgorsze lęki rodziców. Zadławienie. Chorobę. Wtargnięcie włamywaczy.

Zwykle słyszał tylko zakłócenia, które przebijały się z innych częstotliwości — wyładowania elektryczne albo sapanie przeziębionego dziecka sąsiadów. Czasami w równomiernym płaskim szumie Mike słyszał głosy. Mógłby przysiąc, że to duchy. Pomruki z przeszłości. Ten szum był jak portal do na wpół świadomego umysłu; w urojonym szepcie można było dosłyszeć wszystko, co tylko się chciało.

A jeśli wyłączy nianię i właśnie tej nocy Kat naprawdę będzie ich potrzebowała? Co, jeśli obudzi się z jakiegoś koszmaru przerażona i zdezorientowana, jeśli ogarnie ją nagły paraliż, a mucha rzuci na nią zły urok? Godzinami będzie leżała sama, uwięziona z własnymi lękami. Jak wybrać tę pierwszą noc, w której podejmie ryzyko?

Wydawało się, że późną nocą logika i rozsądek zasypiały wcześniej niż on. Wszystko, co najgorsze, było wtedy możliwe.

Właśnie zapadał w sen, gdy mucha wykonała kolejne okrążenie wokół nocnej lampki, a chwilę później na ekranie niemego urządzenia znów zapłonęły czerwone światełka.

Kat mnie woła? — pomyślał.

Usiadł i potarł twarz.

— Nic jej nie jest — jęknęła Annabel.

— Wiem, wiem.

Wstał jednak i cicho poszedł korytarzem.

Dziewczynka mocno spała, jednym szczupłym ramieniem obejmowała pluszowego białego misia; usta miała uchylone. Kasztanowe włosy okalały poważną buzię. Tak jak matka miała szeroko rozstawione oczy, zadarty nos i wydatną dolną wargę; biorąc pod uwagę jej wygląd i wrodzoną bystrość, czasami trudno było stwierdzić, czy to Kat jest ośmioletnią wersją Annabel, czy raczej Annabel jest trzydziestosześcioletnią wersją Kat. Cecha, którą dziewczynka odziedziczyła po Mike’u, była oczywista — jedno oko miała brązowe, drugie w kolorze bursztynu. Nazywają to heterochromią. A co do loków, kto wie, po kim je odziedziczyła.

Pochylił się nad córką i przez chwilę wsłuchiwał w jej równy oddech. Potem zajął fotel na biegunach w kącie pokoju i obserwował ją stamtąd. Był dumny z dzieciństwa, które jej zapewnił, z poczucia bezpieczeństwa, które pozwalało jej tak mocno spać.

— Kochanie.

Żona stała w wejściu i odgarniała z czoła proste włosy. Miała na sobie podkoszulek Gap i bokserki Mike'a. Wyglądała tak samo dobrze jak dziesięć lat temu, podczas ich miesiąca miodowego.

— Chodź do łóżka. Jutro twój wielki dzień.

— Wrócę za chwilę.

Podeszła do niego i pocałowali się cicho. Potem odwróciła się i powoli ruszyła z powrotem do łóżka.

Ruch fotela działał hipnotycznie, ale Mike wciąż wracał myślami do nierozwikłanej sprawy związanej z nadchodzącym dniem. Po jakimś czasie zrozumiał, że nie zdoła już zasnąć, więc poszedł do kuchni i zaparzył dzbanek kawy. Wrócił na fotel i sącząc z zadowoleniem kawę z kubka, patrzył na jasnożółte ściany, rząd lalek na wiszącej półce i na śpiącą jak anioł córkę. Tylko czasem ciszę przerywało brzęczenie muchy, która tu za nim przyleciała.



## 2

Kat gwałtownie wbiegła do kuchni. Jej kucyk był luźny i przekrzywiony. Annabel odwróciła się od patelni, na której smażyła omlety, i przyjrzała się niedbale związanym lokom.

— Ojciec ci zrobił kite, prawda?

Kat wcisnęła do plecaka pluszowego misia polarnego i wspięła się na stołek przy blacie tuż obok Mike'a. Annabel zsunęła omlet na talerz córki, a potem pochyliła się nad nią i kilkoma wprawnymi ruchami poprawiła jej kucyk. Włożyła patelnię do wody z płynem, papierowym ręcznikiem wytarła wyciek pod zlewem i dokończyła drugie śniadanie dla Kat — odcięła skórkę z kanapki z masłem orzechowym, ale bez dżemu.

Siorbiąc trzeci kubek kawy i obserwując żonę, Mike poczuł, jakby poruszał się w zwolnionym tempie.

— Uszczelnij ten zlew dziś wieczorem — obiecał, a Annabel podniosła kciuk na znak aprobaty. Mike zauważył puszystą białą łapkę sterczącą z plecaka córki. — Mogę zapytać, dlaczego spakowałaś do szkoły misia?

— Mam dziś prezentację.

— Kolejną? Nie jesteś przypadkiem w trzeciej klasie?

— To na dodatkowe zajęcia. Będę mówić o globalnym ociepleniu...

— Nie żartuj — wtrąciła sarkastycznie Annabel.

— ...a to nie jest zwyczajny miś polarny.

Mike uniósł brew.

— Nie?

Kat wyjęła misia z plecaka i pokazała go teatralnym gestem.

— To już nie jest Śnieżka, mój ulubiony pluszak. To... to jest Śnieżka, ostatni przedstawiciel ginącego gatunku niedźwiedzi polarnych. — Wyjęła z etui okulary i założyła je. Okrągłe czerwone oprawki dodały jej minie powagi. Nie żeby potrzebowała w tym względzie pomocy. — Wiedzieliście — spytała — że do czasu, kiedy dorosnę, misie polarne prawdopodobnie zupełnie wymrą?

— Tak — odparł Mike. — Z filmu Ala Gore'a. Bo pokrywy lodowe topnieją i niedźwiedzie polarne toną. Płakałaś po tym filmie przez dwa dni.

— Jedz omlet — upomniała Annabel.

Kat jadła, lecz bez apetytu. Mike położył dłoń na jej karku.

— Chcesz, żebym odprowadził cię na zajęcia?

— Tato, mam osiem lat.

— I ciągle mi o tym przypominasz. — Wyjął z kieszeni solidną komórkę i wcisnął przycisk ponownego wybierania. Po kilku dzwonek odebrał dyrektor oddziału bankowego. — Tu znowu Mike Wingate. Czy przelew już dotarł?

— Chwileczkę, panie Wingate.

Przez moment słychać było stukanie klawiatury.

Podczas gdy Annabel negocjowała z Kat, ile kęsów ta musi jeszcze zjeść, Mike czekał, bębniąc nerwowo palcami o blat.

Potrzebował trzynastu lat, by z najemnego robotnika, a potem stolarza, stać się brygadzystą, w końcu zaś przedsiębiorcą budowlanym. A teraz był o krok od realizacji pierwszego projektu jako deweloper. Musiał jednak podjąć przyprawiające o wrzody ryzyko, zastawić dom i zaciągnąć kilka kredytów, aż kupił część niezagospodarowanego kanionu na obrzeżach miasta. Osada Valley, położona w Lost Hills, około pięćdziesięciu kilometrów na północny zachód od centrum Los Angeles, miała wiele zalet. Główną była cena nieruchomości, zaledwie wysoka, a nie ekscentryczna. Mike podzielił teren na czterdzieści dużych działek i zbudował osiedle domów ekologicznych, które nazwał może niezbyt odkrywczo Green Valley, czyli Zieloną Doliną. Nie żeby miał fioła na punkcie ekologii. Zauważył jednak, że Kat interesuje

się środowiskiem; musiał też przyznać, że i jego cholernie przerażały futurystyczne obrazy Manhattanu zalanego przez morze.

Oferta ekologicznej dotacji od władz stanowych pomogła szybko sprzedać domy. Mike czekał na przelew od firmy weryfikującej tytuły własności, który miał nadejść właśnie dzisiejszego ranka. Dzięki tym pieniądzom wreszcie — po trzech i pół roku — wyjdzie z długów i razem z Annabel nie będą musieli sprawdzać konta za każdym razem, gdy postanowią zjeść na mieście.

Dyrektor wrócił na linię, a stukanie ustało.

— Ciągłe nic, panie Wingate.

Mike podziękował, zamknął komórkę i nasadą dłoni otarł pot z czoła. Cichy nieznośny głosik wrócił i prześladował go w myślach: „Co, jeśli mimo ogromnej pracy, którą w to wszystko włożył, okaże się, że coś poszło źle?”.

Poczuł spojrzenie żony.

— Nie trzeba było na razie kupować tego głupiego wielkiego pick-upa — bąknął.

— A co chciałeś zrobić? — odparła Annabel. — Skleić taśmą skrzynię biegów swojej zdezelowanej półciężarówki? Damy radę. Pieniądze przecież dotrą. Ciężko na to pracowałeś... Bardzo ciężko. Masz prawo teraz cieszyć się zyskami.

— Ale na pewno nie musiałem wyrzucać ośmiu stów na nowy garnitur — zrzędził.

— Kochanie, masz sesję zdjęciową z gubernatorem. Nie możesz się pokazać w podartych džinsach. Poza tym możesz znowu włożyć garnitur na wręczenie nagród. A to mi o czymś przypomina. — Strzeliła palcami. — Po porannych zajęciach muszę odebrać twój garnitur od krawca. A Kat ma dzisiaj badania kontrolne. Zawieszysz ją po drodze do szkoły? I spotkamy się tutaj na lunch?

W ostatnim roku musieli w ten sposób ustalać coraz więcej spraw. Kiedy stało się jasne, że Kat świetnie daje sobie radę w trzeciej klasie, Annabel zdecydowała, że czas wrócić do Northridge University i zdobyć uprawnienia pedagogiczne. Mogła studiować, o ile tu i tam nagną budżet.

Mike spojrzął na ekran komórki, na wypadek gdyby jakimś cudem przegapił telefon z banku z dobrymi nowinami. Pomasaował

sobie spięty kark. Nieustannie towarzyszył mu stres.

— Nie wiem, co jest złego w mojej starej sportowej marynarce.

— Chyba już nikt nie nosi kraciastych marynarek, tato — wtrąciła córka.

— Nie jest w kratę, tylko w kwadraty — upierał się.

Annabel skinęła głową Kat i powiedziała bezgłośnie: „W kratę”.

Mike nie mógł powstrzymać uśmiechu. Wziął głęboki wdech i spróbował zrobić powolny, spokojny wydech. Pieniądze były już przecież na koncie firmy weryfikującej tytuły własności. Co mogło pójść nie tak?

Annabel skończyła zmywać naczynia, zdjęła pierścionki i wtarła balsam w dłonie. Pierścionek zaręczynowy z kropelką jasnożółtego brylantu — kiedyś Mike wydał na niego dwie pensje — zalśnił przyćmionym blaskiem. Uwielbiał ten pierścionek, podobnie jak ich miły mały domek. Amerykański sen w postaci dwóch sypialni i stu czterdziestu metrów kwadratowych. Świetnie byłoby mieć większe pieniądze, ale Mike wiedział, że powinien być wdzięczny za to, co już mieli, że powinien doceniać, jakie mieli szczęście.

Żona wyciągnęła do niego dłonie.

— Chodź tutaj, mam za dużo balsamu.

Słońce wpadające przez okno oświetliło jej ramiona i nadało ciemnym włosom odcień spizu; oczy Annabel przejęły zimny błękit jej bluzki i wydawały się półprzezroczyste.

Mike bezwiednie chwycił telefon i zrobił jej zdjęcie.

— Co znowu? — spytała.

— Twoje włosy. Twoje oczy.

Annabel ujęła jego dłonie.

— O Boże — mruknęła Kat. — Po prostu się pocałujcie i skończcie już z tymi głupotami.

■ ■ ■

Ford F-450 połykiwał w garażu niczym wypolerowany czołg. Czterotonowy pick-up pożerał tak dużo ropy i tak bardzo szkodził środowisku, że osiedle Green Valley bez wątplenia nie rekompensowało tych strat. Ale toyotą prius Mike nie mógłby przewozić sprzętu na plac budowy. Wielki pick-up był dowodem

rozzutności — może nawet lekkomyślności — ale Mike musiał przyznać, że kiedy wczoraj odjeżdżał nim spod salonu dealera, poczuł tak wielką radość, że rozsądek przestał go interesować.

Kat wskoczyła na tylne siedzenie i wsadziła nos w książkę, jak zwykle rano.

Wycofując samochód z podjazdu, Mike wskazał na zwisający z sufitu ekran z odtwarzaczem DVD.

— Daj sobie spokój z czytaniem i zobacz, co tu mamy. Są do niego słuchawki bezprzewodowe. Z redukcją szumów.

Mówił tonem osoby, która recytuje prospekt reklamowy, ale nie mógł się powstrzymać. Zapach nowego auta wręcz uderzał mu do głowy.

Dziewczynka założyła słuchawki i zaczęła przeskakiwać pilotem po kanałach.

— Super! — zakrzyknęła z powodu słuchawek i podniecenia. — *Hannah Montana*.

Mike mijał ciche podmiejskie ulice, poprawiał daszek przeciwsloneczny i myślał, jaki jest zdenerwowany i przejęty sesją zdjęciową z gubernatorem. Gdy przejeżdżali obok jubilera, popatrzył na przedmioty migoczące w witrynie i pomyślał, że jak dostanie przelew, podjedzie tu i sprawi Annabel niespodziankę.

Kiedy zbliżali się do gabinetu doktor Obuchi, Kat sposepniała i zerwała z uszu słuchawki.

— Żadnych zastrzyków — ostrzegła.

— Żadnych zastrzyków. Tylko badanie. Nie wściekaj się.

— Nie będę się wściekać, jak nie będzie żadnych igieł. — Wyciągnęła rękę w patetyczny sposób zupełnie niepasujący do jej wieku. — Umowa stoi?

Mike na wpół się odwrócił i z całą powagą uściśnił sobie dłoń.

— Stoi.

— Nie wierzę ci — mruknęła.

— Czy kiedykolwiek złamałem daną obietnicę?

— Nie — przyznała. — Ale zawsze może być ten pierwszy raz.

— Cieszę się, że masz do mnie takie zaufanie — odparowała.

W drodze do gabinetu usta Kat pozostały mocno zaciśnięte. Na miejscu, kiedy doktor Obuchi badała jej odruchy, przesuwała się

w tył i w przód na kozetce wyłożonej marszczącym się papierem.

Lekarka skończyła badanie i przejrzała kartę Kat.

— Och! Nie dostała drugiej szczepionki MMR, bo Annabel chciała, żebym rozłożyła zastrzyki w czasie. — Pociągnęła dziewczynkę za lok błyszczących ciemnych włosów. — Musimy to nadrobić.

Przetrząsnęła szufladę, szukając fiolki i strzykawki.

Kat wybałuszyła oczy. Jej ciało zeszywniało na kozetce, posłała ojcu błagalne spojrzenie.

— Tato, obiecałeś.

— Woli wcześniej przygotować się do zastrzyku — bąknął Mike. — Psychicznie. Potrzebuje trochę więcej czasu. Może wrócimy za kilka dni, jeszcze w tym tygodniu?

— Jest wrzesień. Zaczęła się szkoła. Domyślasz się, jak wygląda mój dzień. — Doktor Obuchi zauważyła piorunujące spojrzenie Kat. — No cóż — mruknęła — może znajduję okienko w piątek rano.

Mike zacisnął zęby, sfrustrowany. Kat bacznie go obserwowała. Położył ręce na jej chudych kolanach.

— Kochanie, w piątek przez cały dzień mam spotkanie za spotkaniem, a mama wykłady. To mój najgorszy dzień. Zrobmy zastrzyk teraz i miejmy to za sobą.

Kat się zarumieniła.

— To tylko ukłucie — zapewniła ją doktor Obuchi. — Nawet nie zauważysz.

Dziewczynka oderwała wzrok od ojca i zagapiła się w ścianę. Jej oddech przyspieszył, a wyciągnięte ramię stało się prawie tak białe jak lateksowa rękawiczka, która je ścisnęła. Doktor Obuchi przetarła biceps Kat spirytusem i przygotowała igłę.

Mike obserwował córkę z rosnącym zakłopotaniem. Nadal nie odrywała wzroku od ściany.

Kiedy kobieta zaczęła opuszczać koniuszek igły, Mike wyciągnął rękę i łagodnie jej przerwał.

— Umówmy się jednak na piątek — poprosił.

■ ■ ■

Jechał, żując juicy fruit i powstrzymując się przed kolejnym,

czwartym tego ranka telefonem do banku. Kiedy podjeżdżali pod szkołę, opuścił okno i wypluł gumę pod wiatr.

— Tato!

— Co takiego?

— To nie było dobre dla środowiska.

— Bo bielik amerykański złapie ją w locie i się udławi?

Dziewczynka rzuciła mu gniewne spojrzenie.

— No dobrze, już dobrze — stwierdził. — Nie będę więcej wypluwał gum przez okno.

— Śnieżka, ostatni żyjący niedźwiedź polarny, bardzo ci za to dziękuje. — Zatrzymał się przed szkołą, ale Kat nadal tkwiła na tylnym siedzeniu, obracając w palcach bezprzewodowe słuchawki, które leżały na jej podołku. — Dostajesz jakąś nagrodę za te ekologiczne domy, prawda? — spytała w końcu. — Od gubernatora?

— Tak, docenili moją pracę.

— Wiem, że dbasz o przyrodę i takie tam, ale aż tak bardzo cię to nie interesuje, prawda? Więc dlaczego zbudowałeś te wszystkie zielone domy?

— Naprawdę nie wiesz?

Ustawił wsteczne lusterko, żeby dokładniej widzieć w nim twarz córki.

Pokręciła głową.

— Dla ciebie — odparł.

Lekko otworzyła usta, a później odwróciła wzrok, uśmiechając się pod noskiem. Pospiesznie przesunęła się do przeciwnych drzwi i wysiadła; nawet gdy była w połowie placu zabaw, Mike widział na jej twarzy rumieniec radości.

Mimo wiatru pozostawił opuszczone okno i przypatrywał się otoczeniu. Kilkoro nauczycieli nadzorowało podwórze. Rodzice gromadzili się pomiędzy zaparkowanymi samochodami, ustalali daty wspólnych zabaw i kto kiedy podwiezie czyje dziecko, planowali wycieczki edukacyjne. Uczniowie wydawali okrzyki radości, biegali albo siłowali się na trawie.

To właśnie było życie, o jakim Mike zawsze marzył. Jeszcze niedawno nie wierzył, że mógłby je wieść. A jednak, wbrew

wszystkiemu, nieoczekiwanie stało się jego udziałem.

Wybrał numer i podniósł do ucha telefon. Dyrektor wydał mu się nieco zniecierpliwiony.

— Tak, panie Wingate. Właśnie miałem do pana dzwonić — powiedział. — Cieszę się, że mogę pana o tym poinformować, przed chwilą dotarł przelew.

Na moment Mike oniemiał. Trzymając w dłoni mokrą od potu słuchawkę, spytał o kwotę i poprosił dyrektora, żeby powtórzył, ot tak, dla pewności.

— Więc pożyczka została spłacona, tak? — dodał, chociaż wiedział, że właśnie otrzymał sumę wystarczającą na pięciokrotne pokrycie kredytu. — W pełni spłacona?

Usłyszał w głosie mężczyzny nutę rozbawienia.

— Wobec nas jest pan całkowicie rozliczony, panie Wingate.

Poczuł ucisk w gardle, więc szybko podziękował i się rozłączył. Zakrył twarz dłonią i przez moment tylko oddychał. Bał się, że się rozklei, tutaj, na środku parkingu przed podstawówką w Lost Hills. To tylko pieniądze, tak, pewnie, że tak, ale chodziło o coś więcej, o dużo więcej — ulgę, dumę i świadomość, że podjął ryzyko i poświęcił projektowi niemal cztery lata, a jego wysiłek się opłaci. Żona i córka już nigdy nie będą musiały martwić się o dach nad głową, jedzenie w lodówce i zaległe rachunki za studia, które do tej pory leżały na biurku, wsunięte pod podkładkę.

Po drugiej stronie placu zabaw Kat — którą widział przez płot z drucianej siatki — wspięła się na szczyt rury strażackiej i uderzyła pięścią w górną belkę. Na ten widok poczuł ucisk w sercu. Ten jej bezpieczny mały świat, złożony z dziecięcych wyzwaniań, otwartych horyzontów i bezgranicznej miłości.

Choć był już spóźniony do pracy, jeszcze przez jakiś czas siedział i obserwował bawiącą się córkę.



# 3

Pracownicy zebrali się wokół wielkiego pick-upa Mike'a, gdy tylko zatrzymał się na placu budowy.

— Fiu, fiu! No, no, no!

— Szef ma nowy wózek.

— Ile to maleństwo kosztowało?

Mike wysiadł, ignorując ich pytania, bo tylko w ten sposób potrafił ukryć skrepowanie. Nie przywykł jeszcze do funkcji szefa i tęsknił za swobodnym koleżeństwem, które łączyło go z tymi facetami kiedyś, w czasach gdy razem pracowali.

— Nie tak dużo, jak myślicie.

Jimmy oparł się o maskę obiema dłońmi, chociaż w jednej trzymał śrubokręt.

— Uważaj na lakier — wyrwało się Mike'owi i natychmiast pożałował, że w ogóle otworzył usta.

Jimmy uniósł ręce, jakby ktoś celował do niego z broni. Pozostali mężczyźni się roześmiali.

— Dobra już, dobra — mruknął Mike. — Zasłużyłem sobie. Gdzie Andrés?

Jego drażliwy brygadzysta podchodził powoli, noga za nogą, mieszając stalową rurką w naczyniu z tykwy. Wewnątrz była yerba mate, a rurka, zwana *bombilla*, miała dziurki i zatrzymywała fusy. Andrés bez plucia mógł sączyć cierpki napar przez cały dzień.

Teraz przegonił robotników.

— Hej, na co czekacie? — warknął. — Mogliście się objąć,

póki nie było szefa.

Mężczyźni rozproszyli się, a Andrés postawił tykwę z mate na zderzaku pick-upa.

— Ech — westchnął obojętnie.

— Co takiego?

— Dziś jest Narodowy Dzień Pirackiej Mowy. Co za kraj. Wszystkie te wasze święta. Dzień „zabierz dzieciaka do pracy”. Dzień Martina Juthera Kinga.

Przybyły z Urugwaju Andrés jakiś czas temu wystąpił o amerykańskie obywatelstwo i od tamtej chwili stał się chodzącą skarbnicą wiedzy na temat amerykańskich dziwactw.

— Podobno nazywali go Martin Luther King — wtrącił Mike.

— Tak powiedziałem, chłopie.

Skierowali się na wzniesienie w samym sercu nowego osiedla. Czterdzieści domów zbudowano wokół dużego parkowego trawnika w zagłębieniu kanionu; domy ciągnęły się na obu stokach, a wraz z wysokością rosła cena działki. Na pierwszy rzut oka budynki wyglądały zwyczajnie, dało się jednak zauważyć rowy wykopane w poprzek spadku terenu, które miały spowolnić spływ wody. Na dachach były ogniwa fotowoltaiczne; posadzone rośliny dostarczały tlen, a rury kanalizacyjne wykonano z witrafikowanej gliny — zamiast z niedegradowalnego polichloru winylu, który przepuszcza toksyny. Mimo to osiedle z trudem otrzymało upragniony certyfikat LEED dla „Liderów ekologii, zużycia energii i ochrony środowiska”. Na szczęście się udało i teraz praca była niemal ukończona — pozostało jedynie kilka kwestii elektrycznych, wykończeniowych i parę kosmetycznych ozdobników.

Dotarli na wzniesienie i zeszli do parku. Tę część Green Valley Mike lubił najbardziej. Leżała pośrodku kanionu, w miejscu widocznym z kuchennych okien; rodzice będą mogli obserwować bawiące się dzieci. Można by tu postawić domy, a jednak Mike nie mógł się zmusić do zabudowania terenu.

Kierowali się do niezasypanego otworu na skraju parku, gdzie lada chwila powinny zostać wylane fundamenty.

— Na co czekamy? — spytał Mike.

— Ten głupi ekologiczny beton wiąże się dłużej — mruknął

Andrés. — Ale wiesz, mój stuknięty szef nie pozwala mi wylewać normalnego.

Tak zazwyczaj rozmawiali — jak stare małżeństwo, rozgoryczone i stale rozdrażnione. A jednak bezwarunkowo sobie ufali i wspierali się w każdej sytuacji.

— Certyfikat LEED narzuca duże ograniczenia. — Mike się skrzywił. — Nie mamy pola manewru. — Przesunął ręką po twarzy. — Jezu, kto wiedział, że to będzie takie upierdliwe?

Andrés wciągnął kolejny łyk mate przez *bombillę*.

— Co budujemy po tych domach?

— Może dla odmiany kopalnię węgla.

Andrés zachichotał, po czym wcisnął stalową rurkę głębiej w tykwę.

— Mówię ci, gdybyśmy dali sobie spokój z tą ekologią, moglibyśmy zarobić o dwadzieścia procent więcej. A wtedy wszyscy byśmy jeździli nowymi pick-upami.

Kiedy dotarli do otworu, Jimmy pomachał im i zaczął się przymierzać do wylewania betonu. Andrés pospiesznie uniósł rękę a *bombilla* wyskoczyła z tykwy i wylądowała w dole. Popatrzył za nią z marsową miną, sugerującą, że to kolejne tego dnia rozczarowanie.

— Zapomnij o niej. Kupię ci nową.

Wpatrując się w cienką jak trzcina stalową rurkę wbity w ziemię, Mike usłyszał w głowie głos córki szczebioczącej o czasie potrzebnym na rozkład metali i innych śmieci. Poczul irytujące wyrzuty sumienia.

Jimmy już miał wylewać beton, kiedy Mike krzyknął do niego i wskazał słomkę. Jimmy przewrócił oczami i odszedł na papierosa, a Mike wskoczył do dołu. Miał około półtora metra głębokości; jego ściany były pionowe. Pogłębiali go wcześniej dla rur gazowych. Kiedy Mike kucnął, żeby podnieść *bombillę* Andrésa, dostrzegł kolanko rury wystające ze ścianki rowu ziemnego. Główny przewód wodociągowy.

Aż go zmroziło i ścisnął mu się żołądek.

Metalowa rurka wypadła mu z ręki.

Uderzył go smród omszałej, wilgotnej ziemi i korzeni. Duszny,

dławiący.

Najpierw pomyślał, że może się pomylił, ale potem obmacał kruszącą się ziemię i zamiast szoku pojawił się zwykły strach.

Rura nie była zrobiona z przyjaznej dla środowiska, ekologicznej wityfikowanej gliny, za którą Mike zapłacił fortunę.

To było zwykłe PCW!

■ ■ ■

— Ile tego użyto?

Mike stał na krawędzi dołu z Andrésem, tłumiąc głos paniki. Pozostałych robotników odesłał.

— Nie wiem — odparł Andrés.

— Ściągnij tu furgonetkę — polecił Mike. — Chcę wprowadzić kamerę w instalację kanalizacyjną i magistralę spływową.

— Dzienna taryfa za furgonetkę...

— Nie obchodzi mnie to!

Mike złapał łopatę z pobliskiego kopca ozdobnych kamieni, wskoczył do dołu i zaczął uderzać w ścianę. Nadal miał ciało robotnika budowlanego — umięśnione przedramiona, mocne ręce, barczyste plecy, na których opinał się każdy podkoszulek — zrobił imponujący postęp, ale ubita ziemia nie ustępowała pod łopatą tak łatwo jak jeszcze kilka lat temu. Andrés zadzwonił po furgonetkę, a później stanął z ramionami założonymi na piersi i zagryzając policzek, przyglądał się pracy szefa. Spowodowane wysiłkiem chrząknięcia Mike'a niosły się po okolicy.

Po kilku chwilach Andrés podniósł drugą łopatę i dołączył do szefa w rowie.

■ ■ ■

Furgonetka hydrauliczna stała pośrodku ulicy na jałowym biegu, wijący się przewód z kamerą wychodził z otwartych tylnych drzwi wozu i sięgał dołu w ziemi. Wszyscy robotnicy poza Jimmym zostali odesłani do domów. Osiedle tonęło w ciszy i bezruchu, czasem tylko przeleciał ptak. Szeregi błyszczących nowych domów pod późnoporannym słońcem przypominały atrapę miasta

oczekującego na próbny wybuch bomby atomowej.

Mike i Andrés siedzieli w furgonetcie, wciśnięci obok bębna do nawijania przewodu; ubrania mieli ubłocone, na twarzach smugi ziemi. Na małym czarno-białym ekranie obserwowali przekaz na żywo — ziarnisty, endoskopowy widok czarnej rury. Obok ich głów bęben obracał się z cichym szumem, a kamera kontynuowała podziemną wędrówkę i przekazywała obraz tak spójny, że wydawał się wielokrotnie powieloną jedną fotografią. A jednak nie, metr po metrze rury z polichloru winylu ciągnęły się pod zboczem wzgórza, pod uliczkami, pod betonowymi płytami domów.

Na twarzach mężczyzn odbijało się migoczące światło z ekranu. Obaj mieli tak samo ponure miny.

Jimmy, którego ciemna skóra lśniła od potu, wygramolił się z dziury w ziemi i zajrzał do furgonetki.

— Skończyliśmy? — spytał.

Mike kiwnął głową, patrząc gdzieś w dal. Pytanie dotarło do niego jakby zza ściany.

— Dzięki, Jimmy — zmusił się do odpowiedzi. — Możesz już iść.

Jimmy wrzucił ramionami i odszedł. Chwilę później rozległ się znajomy warkot silnika jego auta, starej półciężarówki szefa. Mike i Andrés przez moment słuchali odjeżdżającego z klekotem pojazdu.

— PCW jest najgorsze ze wszystkiego. — Kiedy Mike w końcu przemówił, głos mu się łamał ze zmartwienia. — Chemikalia przenikają do gleby. Całe to gówno się przemieszcza. Później można je znaleźć w tłuszczu wielorybim. I w mleku eskimoskich kobiet, kurwa mać!

Andrés odchylił się do tyłu i oparł głowę o bok furgonetki.

— Ile to by kosztowało? — spytał Mike.

— Żartujesz, co?

— Ile by kosztowało zastąpienie PCW ceramiką?

— Przecież te rury są nie tylko pod ulicami. Są też pod fundamentami. Pod domami!

— Wiem, gdzie kładliśmy rury!

Andrés cmoknął z niezadowolenia i zagapił się gdzieś przed

siebie.

Mike poczuł tępy ból w szczęce i zdał sobie sprawę, jak mocno zaciskał zęby. Kopanie pod budynkami byłoby koszmarem. Wiele rodzin sprzedawało już swoje stare domy, by zamieszkać tutaj. Byli to średniozamożni ludzie bez funduszy na wynajęcie lokalu albo długi pobyt w hotelu. Do diabła, właśnie to było ważne w całym przedsięwzięciu — budowa osiedla miała pomóc takim rodzinom w zdobyciu ładnych i zdrowych domów. Wiele nieruchomości sprzedał nie tym, którzy chcieli zapłacić więcej, ale potrzebującym — samotnym matkom, robotnikom, rodzinom, które pragnęły przestrzeni.

— Jak to możliwe, że tego nie zauważyłeś? — jęknął.

— Ja? — obruszył się Andrés. — Ty wybrałeś podwykonawcę. Vica Manhana. Facet przywiózł tu ze trzydziestu pracowników, którzy położyli rury w przerwie świątecznej. Pamiętasz? Byłeś zachwycony.

Mike zagapił się na swojego forda ze złością i oburzeniem. Pick-up kosztował pięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów...

Co ja sobie, do cholery, wyobrażałem? — pomyślał. Czy dealer przyjmie go z powrotem?

Jego gniew rósł i Mike czuł, że lada chwila wpadnie w szał.

— Masz numer Manhana? — spytał.

Andrés sprawdził kontakty w telefonie, kliknął „Połącz” i wręczył komórkę szefowi.

Mike przesunął brudną ręką po spoconych włosach. Próbował uspokoić oddech.

— Oby ten dupek miał porządną polisę ubezpieczeniową. Gównu mnie obchodzi, jakie będą koszty. Wytoczę mu tyle procesów, ile zdołam...

— *Wybrany numer jest nieaktualny. Jeśli uważasz, że zaszła pomyłka...*

Serce szaleńczo załomotało Mike'owi w piersi.

Rozłączył się i wrócił do menu. Tym razem wybrał numer komórki Manhana.

— *Abonent sieci Nextel, z którym próbujesz się połączyć, nie jest już...*

Mike cisnął telefonem obok furgonetki. Andrés popatrzył na niego bez słowa, a potem pochylił się powoli, podniósł komórkę i przyglądał się ekranowi, niepewny, czy telefon wciąż działa.

Przez chwilę Mike ciężko oddychał.

— Sam sprawdziłem jego pieprzoną licencję.

— To lepiej sprawdź jeszcze raz — powiedział Andrés.

Czując, jak przepocona koszula klei mu się do ciała, Mike odbył szereg rozmów telefonicznych. Każdy nowo zdobyty numer zapisywał na tyle jakiejś koperty. Sprawa szybko się wyjaśniła. Vic Manhan rzeczywiście zdobył kiedyś licencję na usługi, które mu wyświadczył, ale straciła ona ważność pięć miesięcy temu, krótko po tym, jak Manhan zakończył pracę dla Mike'a. Ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej też nie przedłużył, więc kiedy kładł rury z PCW, w ogóle nie miał żadnej polisy. Dokumenty od ubezpieczyciela, które okazał wtedy Mike'owi, były sfałszowane. Co oznaczało — wedle wszelkiego prawdopodobieństwa — że nie było żadnych pieniędzy na pokrycie szkód.

Po raz pierwszy od długiego czasu Mike miał ochotę dopuścić się przemocy, niemal poczuł, jak pięść trafia na nos, i pomyślał: Jak szybko wracamy do starych przyzwyczajzeń. Opuścił tylko głowę, chwycił się za włosy i zacisnął dłonie, aż zabolalo. Sapnął ciężko i własny gorący oddech uderzył go w policzki.

— Nie możesz być aż tak zaskoczony — mruknął Andrés. — Że znalazłeś te rury PCW.

— Co ty wygadujesz? Jasne, że jestem zaskoczony.

— Daj spokój. Rury ceramiczne są cięższe niż żelazne. Ich wykonanie jest droższe, transport jest droższy, trudniej je zainstalować. Czemu twoim zdaniem oferta Manhana była o trzydzieści procent tańsza niż każda inna? — Andrés zmarszczył śniade czoło. — Może nie chciałeś wiedzieć.

Mike nie odpowiedział, spuścił tylko wzrok i patrzył na swoje brudne ręce.

— Do tych domów ma się wprowadzić czterdzieści rodzin — kontynuował Andrés. — Wszystkie w tym tygodniu. Nawet gdybyś chciał wydać wszystkie pieniądze na wymianę tych rur, jak to

sobie wyobrażasz? Weźmiesz wiertarkę udarową i zryjesz te budynki, jeden po drugim? Te ulice?

— Tak.

Andrés uniósł brew.

— Żeby zastąpić jeden komplet rur innym?

— Podpisałem zobowiązania, kontrakty — upierał się Mike. — Zapewniałem, że rury są ceramiczne, a nie z PCW. Gwarantowałem własnym nazwiskiem.

— Nie zrobiłeś nic złego. To ten facet nas wyrolował.

— Ale te domy zostały zbudowane na kłamstwie — odparł Mike ochryple.

Andrés ze znużeniem wzruszył ramionami, po czym z jękiem wysiadł z furgonetki. Chwilę później Mike podążył za nim, mięśnie miał napięte i obolałe.

Stanęli naprzeciwko siebie pośrodku ulicy, mrugając pod wpływem światła niczym noworodki. Kanion rozciągał się przed nimi, piękny, stromy, porośnięty bylicą. Powietrze, rześkie i ostre, pachniało eukaliptusem. Zieleń dachów współgrała z odcieniem górskich sumaków na zboczach, a kiedy Mike zmrużył oczy, cała roślinność zlała mu się w jedno.

— Nikt się nie dowie — kusił Andrés.

Skinął głową, raz, jak gdyby dla potwierdzenia, i ruszył do swojego samochodu.

— Ja będę wiedział — odburknął Mike.